ANIOŁ  TRÓŻ

PRZYJACIEL I NAUCZYCIEL DZIECI.

Wychodzi w trzecią niedzielę każdego miesiąca.

Rok III. Kraków, grudzień 1902. Nr. 12.

Prenumerata roczna: 40 hal. **Ulica Mikołajska Nr 30.** Cena pojedynczego numeru: 4 hal.

PRZYJACIEL NAD PRZYJACIELE.

Jeszcze nie było nic na bożym świecie
I nieba i słońc na niebie,
A Pan Bóg myślał już o tobie — dziecię,
Przed wieki i kochał ciebie.



I pragnąc stać się twoim [przyjacielem,
Twoją miłością jedyną,
Z niebiosów do cię zbiegł na [świat z weselem,
Dla ciebie stał się — dzie- [ciną.

I przyniósł z sobą wszyst- [kie łaski nieba,
Ze skarbów swoich wy- [brane,
Jakich ci tylko kiedy w ży- [ciu trzeba
I — swoje Serce kochane

To Serce ogniem płonąc niepo-
[jętym,
Szukało cię bez wytchnienia,
Żeby cię zrobić szczęśliwym
[i świętym:
To były jego marzenia.

W tej myśli tutaj od kolebki
[żyło,
W pracy, modlitwie i trudzie,
By cię modlitwy, pracy na-
[uczyło,
Jak kochać Boga i ludzi.

Dało ci wszystko: drogę wiary
[jasną —
Z nią całe morze łask zlało,
Dało Swe życie, dało Matkę
[własną
I Siebie Samo oddało!

O — ani ojciec tak kochać nie
[zdoła,
Ni nawet matka twa droga,
Jak ciebie kocha, strzeże, pieści,
[woła,
Najdroższe to Serce — Boga!

A kiedy wszystkie serca bić
[przestaną
I wszelkie ludzkie kochanie:
Jedno to serce miłością nie
[znaną
Kochać cię nie przestanie.

A więc kochajcie to Serce —
[o dziatki,
Nad wszystką miłość, wesele:
Bo ono dla was nad ojce, nad
[matki,
Przyjaciel nad przyjaciele!

Szczere, serdeczne życzenia Wesołych Świąt zasyła Przew. Ks. Ks. Katechetom, PP. Nauczycielkom i Nauczycielom, Rodzicom Waszym, Rodzeństwu i Wam ukochane Dzieci,

Aniołek.

Przyjaciel polskich dzieci.

Macie w tym numerku opowiadanie o szopce betleemskiej; dowiecie się, że napisane ono było przez księdza Antoniewicza, warto więc, abyście coś o tym kapłanie usłyszały. Odznaczał się on szczególniejszą miłością dla dzieci, więc też zasłużył na pamięć u nich.

Ks. Karol Antoniewicz w młodości swojej nie myślał zupełnie być zakonnikiem, dopiero kiedy Bóg odebrał mu całą najbliższą i bardzo ukochaną rodzinę, zamiast się rozżalać nad sobą i na P. Boga narzekać, jak często ludzie robią, zrozumiał, że go P. Jezus do czego innego przeznaczył. Serce jego miało ukochać nie kilka osób, ale wszystkich bliźnich, miał pracować nie na chleb dla rodziny, ale dla zbawienia bliźnich swoich.

Ks. Antoniewicz posłuszny woli Bożej, oblókł się w sukienkę

Jezuicką i jako missyonarz, szczególnie wśród polskich wsi, z wielką miłością garnął złych i dobrych, a przedewszystkiem opuszczonych i grzesznych, a już najbardziej dziatwę. Może nie jeden z sędziwych gospodarzy wiejskich go pamięta.

Kiedy w roku 1850 Kraków spłonął i prześliczne kościoły rozsypały się w gruzy, płakała cała Polska nad tą stratą, a w wielu sercach odezwała się rozpacz — ks. Antoniewicz pełen ufności w dobroć Bożą, na tych jeszcze niewygasłych gruzach wołał, prosił i zaklinał, żeby Krakowianie nie pozwolili przepaść pamiątkom po ojcach. Bóg mu pobłogosławił. Wsparty jego łaską, ubogi zakonnik doczekał się, że słowa jego zachęciły setki ludzi do ofiary a kościoły krakowskie dźwignęły się z popiołów.

W listopadzie b. r. obchodziliśmy 50-o letnią rocznicę jego zgonu. Za Jego pracę i miłość dla ludu polskiego, niech-że polskie dzieci podziękują Mu modlitwą, a przez życie całe zachowają Mu wdzięczną pamięć.

SZOPKA.

(Napisał ksiądz Karol Antoniewicz).

Za pięknem ludnem miastem Betleemskiem, gdzie były wielkie i ozdobne ulice i domy i pałace, opodal była szopka opuszczona — szopka słomą pokryta; — a w tej opuszczonej szopce drżąc od zimna wół i osioł gryzły przemarzłe sianko; wiatr mroźny dął przez szczeliny i groził tę starą obalić szopkę.

A jednak w tej ubogiej szopce cuda stać się miały! Ta szopka miała się w niebo przemienić.

O dzieci! z radością oglądajcie tę szopkę ubogą, bo w niej wielkie skarby znajdziecie!

Najświętsza Panna Marya mając dać światu Dzieciątko Jezus, szukała miejsca, gdzieby spokojnie i wygodnie to Dziecię złożyć mogła... i chodziła i prosiła, aby Ją na nocleg przyjęto.

Pewnie sądzicie, że wszyscy mieszkańcy miasta dowiedziawszy się o tem, że Najświętsza Marya Panna przyszła do ich miasta, wybiegli uradowani, — że każdy prosił, aby do niego wstąpiła, bo jakież to szczęście mieć Maryę w domu swoim! — Otóż nie tak się stało! Wszyscy zamknęli drzwi i bramy domów przed Nią! — »Ja nie mam miejsca, — ja nie mam czasu przyjąć Cię, — idź i szukaj przytułku gdzieindziej«. — O biedni! o ślepi ludzie! czy nie prawda? »Miejsca nie mam« – a dla kogóż będziesz miał miejsce, jeżeli nie dla Maryi i Jezusa. Nie będzie też Marya wstawiać się za tobą o miejsce w niebie u Syna Swego! — Ochoty nie masz, — czasu nie masz? — Oj nie wyżebrze ci Marya czasu, abyś się do Syna Jej przed śmiercią nawrócił!

Żeby to Marya dziś z Dzieciątkiem Jezus wróciła na świat, czybyście to samo uczynili? — czybyście Ją także tak przyjęli? — »Oj, nie, nie! — Mybyśmy Ją zaraz zaprowadzili do matki i ojca naszego, bo w naszym domu każdy biedny ma przytułek, a Marya i Jezus by nie mieli? — Te starsze między nami usługiwałyby Panu Jezusowi, a my bawilibyśmy się z Nim, gdyby pozwolił, i usypiali Go piękną, świętą piosenką i całowali rączki i nóżki Jego — i czuwali i przestrzegali, aby żadna muszka we śnie Go nie niepokoiła!« O dzieci! tak mówicie, a czemu tak nie czynicie? Marya z Dzieciątkiem Jezus jest między wami, a wy Jej nie chcecie! — Szuka schronienia dla Dzieciątka Swego, ale już nie w domach tylko w serduszkach waszych, a wy te serduszka zamykacie! — Niema w sercu twojem miejsca dla Dzieciątka Jezus! — Czemu? — Bo tam gniew mieszka, — gniewasz się na ojca, matkę, rówienników twoich — a gdzie gniew mieszka, tam Pan Jezus mieszkać nie może! Dziecko! wyrzuć ten gniew z serca, a Pan Jezus przyjdzie do ciebie! — Serce twoje nieposłuszne ojcu, matce, a ty chcesz, żeby ten Pan Jezus, co był wzorem posłuszeństwa, u ciebie pozostał? — O dziecko! nie zamykaj serca Twego Panu Jezusowi, — wyrzuć z niego nieprzyjaciół Jego, a tem samem nieprzyjaciół twoich. — Nie mów: »Ja nie mam czasu, ja później to uczynię«. — Tak może mówili i do Maryi ludzie w Betleemie: »my czasu nie mamy, przyjdź jutro!« — a Marya poszła i nie wróciła więcej. Dziecko, nie odkładaj poprawy, bo łaska Pana Boga jak promień zaświeci, a kiedy nie będziesz z tego światła korzystać, to zgaśnie dla ciebie i będzie w koło ciebie dzień — a w tobie noc! bo Pan Jezus jest Światłością, a kto idzie za Nim, ten nie chodzi w ciemności! — Chcesz przyjąć Pana Jezusa, niech Serce twoje będzie pokorne i ciche jak ta szopka. — W szopce był wół i osioł, znak pracy i pokory — praca i pokora niech przywitają Pana w sercu twojem! — Bądź pracowitem, abyś nagrodę pracy odebrało; bądź pokornem, abyś się wywyższenia chwały doczekało.

I ta szopka, tak wzgardzona stała się najpiękniejszym i najozdobniejszym pałacem. Tak i dziś każdy dom, bogaty czy ubogi w pałac się przemienia, jeżeli w nim sobie Bóg upodoba i mieszkanie założy w sercach tam żyjących; — a każdy pałac choćby cały ze złota i srebra był ulany, w szopę lichą się przemienia, jeśli w nim Boga nie kochają.

Chodźmy więc dzieci do tej szopki, bo tam wielkie rozpoczną się cuda!

SWAWOLNY LEOŚ.

Leoś biegał wciąż wesoło,
Podskakiwał, kręcił w koło,
To na jednej stawał nodze,
Koziołkował po podłodze.

Mama widząc to powiada:
— Swawolić tak nie wypada,
Główka się zawrócić może,
I upadniesz, nie daj Boże!

Leoś na to nic nie zważa,
Swoje harce wciąż powtarza...
Naraz bęc! i w krzyki chłopiec
Bo uderzył głową o piec.

Z nosa ciurkiem krew się leje!
Moi drodzy, tak się dzieje,
Taki los spotyka dziatki,
Gdy nie baczą na głos Matki!

Niedzielna rozrywka Staszka i Józia.

Staszek i Józio, dwaj bracia, byli dobrymi, grzecznymi chłopcami. Nigdy rodzice ich nie potrzebowali się na nich gniewać, bo byli zawsze posłuszni i robili chętnie i starannie cokolwiek ojciec lub matka kazali. Szczególnie byli obaj pilni do nauki. Nie było nigdy wypadku, żeby zadania domowego nie zrobili na czas, lub żeby książkę lub zeszyt zagubili. To też codzień zasługiwali sobie na pochwałę p. Nauczyciela, a ks. Katecheta w nagrodę za pilność dawał im często śliczne kolorowane obrazki.

Staszek i Józio rozumieli to, czego tak dużo innych dzieci nie rozumie, że nauka jest koniecznie potrzebną, że kto będąc dzieckiem jest leniwym i do nauki się nie przykłada, ten będzie całe życie biedę klepał, bo go mądrzejszy na każdym kroku prześcignie; to też podczas gdy inni chłopcy bąki zbijali na łące, oni czytali swoją gazetkę albo jaką ładną książeczkę, którą im p. Nauczyciel pożyczył.

Wieś w której Staszek i Józio mieszkali nazywała się Radostów. Pan Nauczyciel, który w Radostowie uczył dzieci, był to człowiek rozumny i zacny, pracował nad niemi, ile mu tylko sił starczyło, z gorącą chęcią żeby uczniów swoich wychować na ludzi uczciwych i pracowitych, z którychby kiedyś i rodzina i wieś cała miała pożytek. — Staszek i Józio najbardziej korzystali z jego nauk, nic więc dziwnego, że i on najbardziej ze wszystkich dzieci ich kochał. W każdą niedzielę popołudniu, gdy była ładna pogoda, zabierał ich ze sobą na spacer, — chodził z nimi po łąkach i w lesie i opowiadał śliczne historye o tych cudach na ziemi i na niebie, które P. Bóg miłosierny dla człowieka stworzył.

P. Nauczyciel, gdy był młodszym dużo jeździł po świecie. Gdzie on nie był, mój Boże! i w zimnych i w gorących krajach — na północy dalekiej i het tam na południu dokąd nasze ptaszyny w zimie odlatują — gdzie nigdy niema ani mrozów ani śniegu, tylko zawsze lato i pełno kwiatów przecudnych.

— Panie Nauczycielu — spytał go na jednej niedzielnej przechadzce Staszek — czy to prawda, że są na świecie jeszcze inne ptaszki niż u nas? Tak mi mówił Antek kowalowej, co był w Ameryce; ale mnie się w to wierzyć nie chce. Przecie u nas jest ich tyle i takich przeróżnych, — gdzieżby to było możliwe, żeby gdzieś jeszcze inne były.

— A jednak tak jest, Staszku — odrzekł p. Nauczyciel. — Inne ptaki żyją w gorących krajach, inne w zimnych, a jeszcze inne u nas, gdzie nie jest ani nazbyt gorąco, ani nazbyt zimno.

— O, to niech nam Pan coś o tych ptaszkach opowie! — zawołali razem cłopcy. — Prosimy Pana bardzo!

— I owszem, moje dzieci, opowiem z chęcią. Ale od którego tu zacząć? Tyle, tyle przeróżnych ptaków widziałem w moich wędrówkach, a jeden piękniejszy od drugiego. No, wiecie co, może zaczniemy od ptaszka n a j m n i e j s z e g o ze wszzstkich ptaków na świecie. Czy dobrze?

— Dobrze, dobrze! — zawołały dzieci.

— No to teraz słuchajcie uważnie. Najmniejszy ptaszek na świecie nazywa się **kolibr.** Opowiem wam jak to było, gdym go pierw-



Kolibry.

szy raz w życiu zobaczył. — Mówiłem wam już kiedyś, że mię Opatrzność Boża zaprowadziła do południowej Ameryki. Wiedziałem, że te ptaszęta tam żyją, alem nigdy jeszcze na własne oczy żywego kolibra nie widział. A ciekaw ich byłem niezmiernie, bom zawsze słyszał, że piękniejszch ptasząt nie ma na kuli ziemskiej. Razu jednego, — było to w niedzielę — poszedłem odwiedzić jednego mojego znajomngo. Znajomy mój mieszkał na wsi, a domek jego otoczony był ze wszystkich stron ogrodem. Pogoda tego dnia była tak piękna, że zamiast siedzieć w izbie, poszliśmy do ogrodu i usiedliśmy w cieniu na ławce. Wtem, spostrzegłem na końcu cieniutkiej gałązki tego drzewa pod którem siedzieliśmy, gniazdeczko tak malutkie, że mimowoli zawołałem:

— Cóż to za dziwne gniazdko. Jakiż ptaszek może się w niem zmieścić ?!

— Jaki właściciel taki domek — zaśmiał się mój przyjaciel — Ptaszek, który w nim mieszka, jest najmniejszym ptaszkiem na świecie: nazywa się **kolibr**.

— Kolibr! — zawołałem. — Ach, jakże się cieszę! Nareszcie zobaczę kolibra, którego tak jestem ciekawy!

— A otóż właśnie jeden siedzi tam na kwiatach — powiedział mój znajomy. Podejdźmy bliżej to się mu przypatrzysz.

Wstaliśmy i zbliżyliśmy się ostrożnie. Oczom własnym wierzyć nie chciałem. W kielichu jakiegoś kwiatu siedziała cudna ptaszyna wielkości motyla. Zielone, złote i czerwone jej piórka błyszczały w słońcu jak drogie kamienie; długi, cieniutki dzióbek zapuszczała w głąb kwiatu aby w nim drobne muszki wyłowić i miód z niego wypić. Na główce miała malutki zielony grzebyczek, który błyszczał jak gwiazdeczka.

— Ptaszek ten małym ci się wydaje — mówił znowu mój przyjaciel. — Ale cóżbyś powiedział, gdybyś zobaczył samo jego ciało, bez piórek! Jest ono wielkości laskowego orzecha! Jaja kolibra są zupełnie białe, trochę podłużne, często nie większe od grochu! Kolibry latają nadzwyczajnie szybko i tak jak motyle ciągle z miejsca na miejsce przelatują.

Nagle kolibr, któremu się przyglądałem zerwał się z kwiatu i tak zwinnie i szybko odleciał, że w jednej chwili straciłem go z oczu. Ale wnet nadleciały inne — a ja jeszcze długo, długo tam stałem i napatrzyć im się dosyć nie mogłem.

Wieczorem pożegnałem mego przyjaciela i wróciłem do domu. Przez drogę o niczem innem myśleć nie mogłem, tylko o tych prześlicznych ptaszynach i ciągle jeszcze miałem w oczach ich przedziwne piórka, które niby różnokolorowe blaszki i szkiełka mieniły się i błyszczały w słońcu. A gdy idąc spać ukląkłem przy łóżku do wieczornego pacierza, gorące słowa wdzięczności ku Bogu wyrwały mi się z serca: »Jakżeś Ty dobry i miłosierny o Boże, że tę ziemię, która jest tylko naszem chwilowem mieszkaniem ustrajasz dla nas w takie piękności! A jeśli już tutaj na świecie tyle dla nas cudów stwarzasz, to cóż dopiero zgotowałeś w niebie dla tych, którzy Cię miłują!«

Tu pan Nauczyciel skończył swoje opowiadanie, a Staszek i Józio uradowani podziękowali mu serdecznie i pobiegli prędko do domu, aby powtórzyć młodszym siostrzyczkom to, czego się sami nauczyli.

Zdarzenie prawdziwe.

Przed kilku laty w małem miasteczku służył u doktora do pokoju dwunastoletni Wicuś, strasznie łakomy. Nic się przed nim utrzymać nie mogło, czy kawałek chleba, czy ser, czy bułka, czy masło, czy obwarzanek, cokolwiek

bądź leżało na stole, musiał koniecznie porwać i zjeść, chociaż głodnym nie był, bo doktor o nim dobrze pamiętał.

Pewnego razu dziedziczka sąsiedniej wsi przysłała doktorowi dwa słoiki konfitur z wisien, które w tym roku bardzo obrodziły. Kiedy posłaniec oddawał ów podarunek, Wicuś ścierając kurze, obejrzał się na słoiki ze smakiem Doktor, poznawszy o czem myśli, bo go znał jako łakomca, wstawiając słoiki do szafy, rzekł:

— Słuchaj Wicuś! Pani dziedziczka przysłała mi w tych słoikach truciznę na szczury; niech cię Bóg broni, abyś się jej dotknął, albo skosztował, bobyś natychmiast umarł.

Wicuś uwierzył słowom doktora i z wielką obawą chodził zawsze około szaf, nie dotykając nawet słoików.

W kilka dni potem wypadło doktorowi wyjechać na pół dnia z domu, miał na obiad powrócić. Kucharka kazała Wicusiowi obracać na rożnie dwa kurczęta i smarować je piórkiem masłem, aby były smaczniejsze i dobrze się upiekły, żeby doktor jak powróci, zastał obiad gotowy i dobry.

Wicuś kręcił rożnem, kurczęta pomału zaczęły się dopiekać, masło skwierczało — żołądek i wątróbka pod skrzydełkami cudownie pachniały, zaczął się tedy drapać po głowie i oblizywać. Nie mogąc nareszcie pokonać łakomstwa, urwał wątróbkę z jednego kurczęcia i zjadł: była przewyborna! Oblizał się, urwał skrzydełko z żołądkiem i prawie połknął: jeszcze lepsze! Tak postępował dalej, dopóki nie zjadł całego kurczęcia. Namyśliwszy się krótko i rozważywszy, że czy za jednego, czy za dwa kurczęta naganę i karę jedną otrzyma, zjadł drugie kurczę, rzucił rożen za piec i uciekł do ogrodu.

Po spełnieniu takiego czynu zaczął rozmyślać, jaki on to zły i niegodziwy chłopiec, jak za dobrodziejstwa doktora, który dla niego jest tak dobry i łaskawy, niegodnie się wywdzięcza, jak doktór, powróciwszy do domu z jego powodu będzie głodny i markotny na niego. Rozbeczał się biedny Wicuś, a nie mogąc znieść żalu jaki miał w sercu, postanowił odebrać sobie życie.

Trucizna na szczury będąca w szafie, a przysłana przez dziedziczkę doktorowi, przyszła mu na myśl. Nie czekając długo, cichutko wszedł do pokoju doktora, szafę otworzył, słoiki wyjął, papier odwiązał, a pragnąc się prędko otruć, jeden słoik zjadł. Trucizna, jak się domyślacie, była słodka i bardzo smaczna, nie chcąc się więc długo męczyć, wziął się do drugiego słoika i do ostatniej odrobiny wylizał.

Po takiem strasznem przejedzeniu, bo zjadł dwa kurczęta i dwa duże słoiki konfitur, dostał ciężkich boleści. Sądząc, że to już śmierć nadchodzi, położył się w przedpokoju na swojem posłaniu i począł strasznie jęczeć.

Kucharka i służący, ogrodnik i praczka zlecieli się około umierającego Wicusia: tarli, smarowali, pragnąc ratować nagle zapadłego na zdrowiu biedaka. Przy takim rwetesie zapomniano o kurczętach, że ich na rożnie nie było — dopiero gdy doktor powrócił, umierający Wicuś padł mu do nóg i zawołał:

— Wielmożny Panie doktorze! Ojcze mój! daruj mi i przebacz, bo ja umieram. Byłem łakomcem, zjadłem z rożna dwa kurczęta, co były dla ciebie na obiad — żal mi się zrobiło, i otrułem się trucizną na szczury, co była w szafie.

Rzecz się wyjaśniła — roześmiał się doktor, i wszyscy, co byli koło umierającego Wicusia, dano mu rumianku z miętą i wyzdrowiał. Całe miasteczko, wytykało go później palcami, jako łakomca i śmiało się z niego — że biedny Wicuś, z żalu i wstydu płakał często.

Niema jednak tego złego, coby na dobre nie wyszło, bo poprawił się z wady łakomstwa i dziś obraca kurczęta na rożnie bez naruszenia ich, ma klucze od szafy doktora i jest jego najwierniejszym sługą.

Rozwiązanie Zagadki I: D r z e w o — Zagadki II: C z ł o w i e k.

Dobre rozwiazanie I Zagadki nadesłali: Jaś Ryczek, Bronio i Tadzio Decowscy, Franio Bilicz, Jaś Kochman.

Zagadka: Który dzień w tygodniu najdłuższy?

Wydawca: **Henrykowa Dziewicka.** — Redaktor odpowiedzialny: **Katarzyna Płatek.**
W drukarni W. L. Anczyca i Spółki w Krakowie.